

Barwy róży

- Panno Rosalie Charlotte Woodward, jakże mi miło panią poznać - wysoki mężczyzna z uśmiechem zwrócił się do panienki. Oczywiście było dla niej, że ani ów grymas, ani pewne spojrzenie, jakim ją obrzucił, nie było szczere. W zakłamanym Londynie, a już na pewno w dzielnicy tak obłudnej i pełnej hipokrytów jak Westminster, nic nie było wiarygodne. Chyba że myśli się o kolejnym napadzie na nieświadome, obrzydliwie bogate kobiety.

Rosalie wygodnie siedząc w fotelu, sączyła swoją kawę i przeglądała akta kolejnej wyznaczonej jej sprawy. Kiedy Weatherford swoim wtargnięciem przerwał jej jakże ciekawą lekturę, była już przekonana, że chodzi o Westminster.

To zawsze chodzi o Westminster.

Nie jest jednak oczywiste, że Rosalie nienawidzi tego miejsca z całego serca. Tak nie jest, choć dziewczyna ma prawo, owszem. I słusznie z jej wypowiedzi o tej dzielnicy można wywnioskować odrazę do ludzi tam mieszkających. Ale odwiedzając mury starych kamienic w poszukiwaniu kolejnych wskazówek, Rosalie chwile przerwy między poszczególnymi lokacjami spędza w najlepszej kawiarni Londynu. Może nie w kawiarni, bo jest to po prostu jedna wielka sala, nie jest urokliwie, ale napój tam parzony ma w sobie coś, do czego zawsze z chęcią wraca. Nie wie, co to jest, gdyby chciała, zapewne dowiedziałaby się, że do wielkiego dzbana z kawą wsypują szczyptę proszku z papryki chili, tak aby napar miał swój niepowtarzalny smak i delikatną nutkę ostrości. Przykładając się do sprawy jeszcze mocniej, zauważyłaby, że filiżanki przed podaniem kawy są skraplane mlekiem kozim. I choćby upierali się, że ów posmak pozostawiony na języku przez gorącą ciecz jest posmakiem uzyskanym przez długie i dokładne prażenie jej ziaren, Rosalie wie, że palą ją zwykle mniej niż wskazane.

Ale przecież ona nic o tym nie wie, prawda? Przecież jest zwykłą, lubiącą dobrą kawę, młodą dziewczyną.

Z westchnieniem jednak uświadamia sobie, że mimo tego zawsze wie, co stoi po drugiej stronie, nawet jeśli by nie chciała.

I dlatego właśnie ona znajduje się tutaj, stojąc na brudnej ścieżce dla pieszych i niby od niechcienia zerka na osobę przed sobą. Gra swoją rolę, zdaje sobie sprawę, że naśladowując tutejszych ludzi znajdzie to, czego szuka. Mierzy wzrokiem sylwetkę mężczyzny, dostrzega najmniejszy szczegół. Czuje coraz to większą niechęć, mimo to przytakuje lekko głową na znak przywitania.

- Jestem Richard Burr, inspektor Scotland Yardu. Miło, że pani przybyła. Mam nadzieję, że droga była przyjemna i bezproblemowa - oczywiście wie, kim jest i jak się nazywa. Żadna zdolność, umie czytać, szczególnie plakietki znajdujące się tuż przed jej twarzą.

- Wszystko przebiegło znakomicie – odpowiada Rosalie, dzielnie patrząc w ciemne oczy inspektora.

Zdecydowanie droga tu nie była niczym złym, rozmowa z Allenem umiliła podróż, a nawet gdyby została pozostawiona sama sobie, znalazłaby ciekawe zajęcia. Jej nie wolno się nudzić.

Gorzej jest teraz, kiedy w smrodzie stęchłej ulicy i oparów starych samochodów stoi i czeka, aż w końcu będzie mogła rozwiązać wszystko w 10 minut i wrócić do domu. Zbliża się 18, a to znak podwieczorku. Rosalie nie lubi przegapiać podwieczorków, szczególnie gdy podany ma zostać nowy specjał Allena. To zawsze coś ekscytującego i ma chwilę, aby odgadnąć, co zostanie przyrządzone. I zawsze jej się to udaje.

- W takim razie proszę za mną, zaprowadzę panią na miejsce.

Szybkim krokiem zacierają w wyznaczoną stronę, cel nie jest daleko. Przeciskają się tylko przez obrzydliwie wąską ścieżkę i już są tam, gdzie powinni. Przemykają obok rozdygotanej kobiety i rozdrażnionego mężczyzny otoczonego dwójką inspektorów. Przechodzą dalej, omijając wyżej wspomniane osoby.

- Proszę zająć tyle czasu, ile pani potrzeba.

Rosalie rozgląda się po otoczeniu pewniej, dwóch inspektorów przy ciele, przy mężczyźnie również dwóch, okno i tuż przed nim kałuża krwi.

Podchodzi do ciała leżącego na zimnej powierzchni, przygląda się rozrzuconym złotym lokom kobiety. Ubrana w drogie futro, nowe szpilki, a przy nienaturalnie wykręconej ręce znajdują się torebka, z której wypadła również kosztowa szminka, flakonik perfum i portfel. Tuż obok otwarty leży dzienniczek. Na nim zapisany adres:

Soho, Berwick Street 36.

Dwie przecznice od domu ofiary.

Rudowłosa kuca i delikatnie podnosi dłoń nieboszczki, przygląda się paznokciom starannie pomalowanym szkarłatnym lakierem. Jej uwagę przykuwa złota obrączka na serdecznym palcu. Druga ręka zaś nawet nie została do końca pomalowana, palec mały i serdeczny w ogóle nietknięte szkarłatem. Palec środkowy z widocznie rozmazanym lakierem.

- Samobójstwo, skoczyła z okna po tym, jak jej mąż znalazł ją w burdelu z kochankiem. Chłoptaś się zwinął. Podobno zdradzała go już od kilku miesięcy w tym zakładzie, ale trzymała się przy nim dla kasy.

- Bzdura - Rosalie przerywa inspektorowi, prostując się. Burr lekko zirytowany sytuacją podnosi jedną brew.

- Słucham?

- Bzdura - powtarza panna Woodward. - Żadne samobójstwo - pewnie odpowiada, zerkając przelotnie na czerwonego z zażenowania mężczyznę.

- Ach tak? Proszę mi więc wytłumaczyć, dlaczego pani tak myśli - pyta niepewny, lekko odchrząkując.

Oczywiście Rosalie nie myśli, że to nie było samobójstwo. Ona WIE, że to na pewno nie był akt samodestrukcji.

- Śpieszę z wyjaśnieniem. Jeśli pan łaskaw, proszę spojrzeć na dłoń zmarłej. Obrączka jest czysta, choć rzadko zdejmowana, wciąż zadbana. - Przechodzi do kolejnego dowodu: - Dziennik. Adres zapisany jest niestarannie, ktoś, kto go zapisał, musiał się śpieszyć lub być zdenerwowany. Dodatkowo data jest dzisiejsza, gdyby miało być to umówione miejsce na tak częste spotkania. Naprawdę pan sądzi, że zapisywałyby go gdziekolwiek akurat dziś? Na poprzedniej stronie już pięknym pismem widnieją napisy „Pierwsza rocznica z Rogerem” i „Zadzwoń do Melisy, ważna sprawa”. Najwyraźniej wspomniana Mellisa nie omieszkła powiadomić panny Moore o zabawach jej męża. Widać, że ktoś pominął tak ważny dowód, prawda?

Richard już wyraźnie zdenerwowany, bo przecież to on sprawdzał wcześniej miejsce zbrodni, zerka to na kobietę, to na ten cholerny dziennik.

- W każdym razie... Kolejny dowód to zapach. Ta kobieta - Rosalie delikatnym ruchem głowy wskazuje na wystraszoną postać, która ze łzami w oczach stoi pod ścianą, tuż obok przesłuchiwanego mężczyzny. Jej ręce drżą, a oczy raz po raz spoglądają w stronę funkcjonariuszy i pana Rogera. - Pachnie doprawdy oszałamiająco.

- Słucham? O czym pani plecie? - zaszokowany słowami rudowłosej spogląda na nią.

- To bardzo drogie perfumy... taka kobieta... czy naprawdę mogłaby pozwolić sobie na tak drogi zakup? Są one oczywiście prezentem - tłumaczy lekko zirytowana zachowaniem Burra. Przecież ona nie plecie, ona elegancko przedstawia fakty, których żaden ze znajdujących się tu śledczych nie potrafił zauważyć.

- Ale od kogo? - dopytuje inspektor.

- To ten sam zapach, który znajduje się w torebce nieboszczki. Chyba oczywiste, czyż nie? - Rosalie odpowiada tak, jakby było to ewidentne. Dla niej jest.

- Skąd to pani niby wie? - Burr nie dowierza.

- To perfumy znanej marki, Fleur Chic. Jednak tydzień temu była na nie wyprzedaż. Zwróciłam na to uwagę tylko dlatego, że w pobliżu mojej ulubionej kawiarni znajdowała się drogeria je sprzedająca. Nawet pan nie uwierzy, jaki szal wywołały. Będąc mężczyzną i chcąc sprawić swojej kochance prezent, pan Roger kupił je, zwiedziony zamieszaniem, jakie wznieciły - oświadczyła. - Zakupił również je dla swojej żony, aby mieć prezent na rocznicę.

Richard niewątpliwie zaskoczony takim obrotem spraw, nie chciał jednak dać znaku, że cokolwiek nim wzruszyło, zapytał podejrzliwie.

- Jak pani to wszystko odgadła?

- Pan Moore nie ma na ręku obrączki, jego włosy są w nieładzie, a wzrok z każdym słowem zdradza, że łże. A, i proszę zwrócić uwagę, kto w tej rodzinie posiadał pieniądze. Owszem, miał on swój majątek, ale w porównaniu z hrabiną rodu Hartman nic on nie znaczył - dokończyła.

- Hrabinią Hartman... Nie wiedziałem, że to ona! Jej dowód mówi co innego!
– zaprzeczył inspektor.

- Kilka miesięcy temu w jej rodzinie rozegrał się poważny dramat. Ojciec zabił matkę. Sprawą zajęłam się ja, tam ją poznałam - wytłumaczyła. - Zmieniła się od tego czasu... Inny kolor włosów, ale wciąż tak samo obrzydliwie bogata - wypowiedziała ostatnie słowa z goryczą, patrząc na leżącą u jej stóp kobietę. - Nie chciała, by ojciec ją znalazł, więc po przesłuchaniu uciekła. No i oczywiście kto chciałby być utożsamiany z tak okrutnym człowiekiem, prawda? Zmieniła imię, wygląd... Ale najwidoczniej Roger dowiedział się wszystkiego, chcąc zatrzymać pieniądze z konta małżonki, bo tylko na tym mu zależało i mając tak cudowną okazję jak jej przybycie do burdelu. Zrobił to, co każdy w tej dzielnicy obłudy. Pech chciał, a może i jego szczęście, że znajdowała się tak blisko okna...

Burr nie odpowiadał, tępo wpatrując się w wykrzywione ciało kobiety.

- Czy to już wszystko? - tym razem Rosalie pyta, niecierpliwie się.

- Ja... chyba... chyba tak... - Richard nie jest pewny swojego głosu. Jak? To wszystko jest nieprawdopodobne, już nie potrafi ukryć swojego zaskoczenia.

- W takim razie już pójdę - panna Woodward odwraca się na pięcie i wymaszerowuje z miejsca zbrodni.

- Proszę pani! Proszę zaczekać! - Nagle słyszy krzyki głównego inspektora, więc z powrotem zwraca się ku niemu.

- Czego jeszcze chcesz? - pyta zdenerwowana.

- Jak ja mam to wszystko potwierdzić?! Te dowody nic nie znaczą, kiedy nikt nie potwierdzi, że widział, jak Roger wypycha żonę przez okno!

- Proszę spojrzeć na dłoń pana Moore.

- Słucham?

- Kobieta spadając, próbowała złapać się najbliższego obiektu - spokojnie próbuje wytłumaczyć inspektorowi, co ma na myśli. - Chwyciła więc dłoń męża i rozmasowała lakier, którym niedawno pomalowała paznokcie. Jestem pewna, że przy takich wydarzeniach pan Moore nawet nie zaprzętnął sobie głowy tym, co ma na rękach.

Odchodzi, słysząc kolejne nawoływania, dla niej już nic one nie oznaczają. Zagadka została rozwiązana. Nie była niczym wielkim, czasami Rosalie naprawdę nienawidzi Londynu za tak oczywiste wypadki. Rozwiązywanie ich wcale nie przynosi jej rozrywki.

Rudowłosa przyspiesza i w kilka chwil znajduje się przy swoim samochodzie. Odgarnia zagubione kosmyki włosów z twarzy i z westchnieniem wsiada do środka, opadając na miękki fotel, zerka na zegarek.

- 5 minut Allen, należy mi się za to w domu coś naprawdę wyśmienitego.